zza kulis

Śmierć i psychologia

Zmarła wybitna koleżanka. Kiedyś, przez osiem lat, pracowała w naszym teatrze. Była świetnym pedagogiem, nosicielką historycznego w teatrze polskim nazwiska. Należała również do kapituły SPATiFu jako wpływowa — swego czasu — działaczka tego Stowarzyszenia. O śmierci dowiedzieliśmy się z telefonu miejscowego Oddziału, przekazującego nam tę wiadomość wraz z prośbą o podjęcie starań związanych z organizacją pogrzebu. Zmarła była osobą nieomal samotną. Nie tak odległe zajęcia w PWST i kapitule SPATiFu nie pozostawiły widać więzi dostatecznie trwałych i wystarczająco mocnych, by mogły zastąpić tych bliskich, którym wiek i siły pozwoliłyby skutecznie zająć się smutną posługą. Bez słowa przejęliśmy zadanie i wypełniliśmy je ze zrozumiałą skrupulatnością a nawet czułością, naturalną w odniesieniu do osoby zjednującej powszechną sympatię, podziw i szacunek. Legenda jej dawno już trwała w naszej pamięci. Dla wielu z nas świetna ta Pani bardziej żyła w historii, w pamięci, w świadomości teatru niż w swoim pełnym pamiątek mieszkaniu; gdy więc okazało się, że odeszła i w związku z tym należy podjąć tych kilka działań, by umożliwić jej sen wieczny, niejeden zdziwił się po trochu, że śmierć tak właśnie przypomina nam o życiu.

Pogrzeb odbył się w kilka dni później według uświęconego zwyczajem rytuału. Ani zbyt skromny, ani zbyt paradny, na miarę tych możliwości, jakie stwarza środowisko, odprowadzając swoich bliskich na miejsce wiecznego spoczynku — w jednoczącym wszystkich akcie solidarności. Jeżeli wracam jeszcze do tego obrzędu i związanych z nim potrzeb to głównie po to, by chociaż z daleka pokłonić się cieniom jednej z pierwszych dam polskiego teatru. Z jej mężem w jego ostatnim, krakowskim okresie łączyła mnie swego czasu zaszczytna i ważka zażyłość, zrozumiała między uczącym się patrzeć i pisać adeptem a uznanym mistrzem polskiego teatru. Może dlatego myśl o zmarłej zakłóca mi jedno pytanie praktyczne, z uporem przesłaniające rozważania o mijaniu. Oto kierownik Oddziału dzwoni do dyrektora administracyjnego teatru i powierza mu najtrudniejsze do załatwienia, najbardziej kłopotliwe starania związane z organizacją pogrzebu. Powołuje się przy tym na brak czasu i sił w biurze prowadzonej przez siebie placówki. W biurze tym pracuje jednak dwoje ludzi i nic nie wskazuje na to, by umierali z przepracowania. Kierownictwo Szkoły, w której zmarła uczyła i skąd odeszła na emeryturę, również umywa ręce od trosk i starań związanych ze śmiercią — pozostawia nam jednak do dyspozycji własnego gońca. Ma to istotne dla sprawy znaczenie, bowiem w ramach humanizacji pracy i poprawy stosunków międzyludzkich w naszej placówce dyscyplina pracowników uległa ostatnio pewnemu rozluźnieniu i w pracy tzw. „kursorów" pojawiły się nawet kłopotliwe braki.

Pytanie, które przeszkadza mi myśleć o tej śmierci jedynie w kategoriach refleksji brzmi: co zrobiłby pracownik miejscowego Oddziału SPATiFu, gdyby nie zastał w teatrze właściwego dyrektora? Lub gdyby ten, zapatrzony w podsuwane wzory, posłużył się wobec niego podobną metodą? Do kogo właściwie należy opieka nad ostatnimi potrzebami artystów teatru — zwłaszcza w takiej jak opisana, dość skomplikowanej sytuacji, gdy odchodzą ludzie naprawdę zasłużeni, ale nie związani już bezpośrednio z żadną sceną i żadnym zespołem? Czy

(dokończenie na str. 20)



Halina Gallowa w roli Starej w »Krzesłach« Ionesco na scenie Starego Teatru w Krakowie (r. 1957) Fot. A. Drozdowski

HALINA GALLOWA

Urodziła się w 1893 r. w Warszawie — zmarła w Krakowie w 1974. Osiemdziesiąt lat, a większość z nich przepojona umiłowaniem teatru. W początkach pracy aktorskiej, a działo się to w czasach pierwszej wojny światowej, znalazła się z dala od Warszawy, na ziemiach Rosji. Tam brała udział w pracach Studia Stanisławskiego, w moskiewskiej trupie Szyfmana grała Lillę Wenedę. Potem był Kraków: pod panieńskim jeszcze nazwiskiem — Kacicka grała tu w latach 1919—1923 Harfiarkę w *Wyzwoleniu*, Lillę Wenedę, Amelię w *Horsztyńskim* i Pasierbicę w sztuce Pirandella *Sześć postaci scenicznych w poszukiwaniu autora*.

W Reducie, już jako Gallowa, była Feniksaną w *Księciu Niezłomnym*, Harfiarką w *Wyzwoleniu* i Księżniczką w *Przepióreczce*. I jeszcze role powojenne, znowu krakowskie: Babcia w *Teorii Einsteina* Cwojdzińskiego, Józefa Maria w *Domu Bernardy Alba* Lorki, Stara w *Krzesłach* Ionesco, Siostra Ludwika w *Port Royal* Montherlanta, Chłopka w *Matce Courage* Brechta, Maria Lwowna w *Niespokojnej starości* Rachmanowa, Tekla w *Wysokiej ścianie* Zawieyskiego (sama reżyserowała ten spektakl). Dorobek sceniczny — jak widzimy — raczej skromny. A przecież krytycy podnosili stale, że role Haliny Gallowej były zawsze twórcze, starannie przygotowane, że artystka zachwycała zwłaszcza nieskazitelną dykcją, kameralnością gry.

Można powiedzieć bez uciekania w przesadę, że nad jej życiem zaciążył mariaż: z Iwo Gallem poznała się Kacicka w Krakowie. Niebawem pobrali się. Gall, entuzjasta teatru, miewał okresy depresji i zwątpień.

„Te okresy burz i zwątpień — zaświadcza Jerzy Zawieyski — łagodziła swoim spokojem i zrozumieniem żona artysty, znakomita aktorka, Jadwiga Halina Gallowa, która w życiu i pracy swego męża ma wielki udział, wielki wkład artystyczny". Oboje przez lat 25 mają ścisły kontakt z Osterwą; aż do jego śmierci w 1947 r. łączyła ich bliska i przyjacielska współpraca. Gallowa była przede wszystkim pedagogiem i wychowawcą młodzieży aktorskiej. W czasie pobytu w Rosji wzorem był dla niej Konstanty Stanisławski, potem wyrocznią stał się Juliusz Osterwa. O Osterwie i Reducie Gallowa mówiła zawsze z entuzjazmem. Gall pracował w Reducie jako artysta malarz od IV sezonu (1922—1923), Gallowa brała udział w pracach artystycznych Reduty od sezonu piątego. Już w 1924 była jednym z wykładowców Instytutu Reduty, prowadząc ćwiczenia z zakresu wymowy. Gall wykładał malarstwo; w 1925 r. został kierownikiem scenograficznym teatru.

Jeszcze we wrześniu 1939 r. Gallowa prowadziła zajęcia studyjne Reduty, by przerwać je dopiero 24 września — na polecenie Osterwy. Potem, wraz z mężem, uczestniczyli czynnie w tajnym nauczaniu przyszłych aktorów. Kiedy Gall w marcu 1945 r. otrzymał pozwolenie na otwarcie Studia Dramatycznego w Krakowie, Gallowa — wówczas aktorka w Starym Teatrze — prowadziła w Studio wykłady z zakresu dykcji i recytacji. W końcu 1946 r. Gall objął Teatr „Wybrzeże" w Gdyni. Rozpoczęto wtedy pracę od objazdu po Wybrzeżu, z *Balladami* Mickiewicza przygotowanymi przez Gallową z jej krakowskimi wychowankami. (Wynikiem jej pracy z młodym zespołem były inscenizacje fragmentów poezji Mickiewicza pt. *Ja kocham cały Naród* oraz wieczory Mickiewiczowskie pt. *Zapalaj słowem serca ludzkie)*.

Gdy Gallowie w 1953 r. wrócili do Krakowa, pani Halina aż do emerytury uczyła dykcji w Szkole Teatralnej im. Solskiego. Byłem pilnym obserwatorem jej pięknej pracy przez szereg lat, podczas których wykładałem w PWST literaturę powszechną i dzieje teatru. Jako wykładowca w PWST, Gallowa była wprost niezastąpiona. Szanowana przez wykładowców, kochana przez młodzież — opiekowała się nią troskliwie. Prowadziła też poradnię dla kandydatów na studia aktorskie; traktowała ich życzliwie przy egzaminie wstępnym a potem — od pierwszych dni wspólnej pracy — czuwała nad wymową i niezmordowanie uczyła poprawnej dykcji, a więc fundamentu umiejętności aktorskich. Przy końcowym egzaminie broniła wychowanków, wyliczając ich zalety, często nie dostrzegane przez innych. Z absolwentami utrzymywała kontakt, żywo interesując się ich losem i radując się sukcesami nowych kolegów. Osterwa wysoko cenił Gallową jako zaufanego człowieka, artystkę i pedagoga. Należała do „Redutowców kapitulnych". potem do „pierwszych powierników" planowanej przez Osterwę „dali". Była też członkiem Kapituły Zasłużonych SPATiFu.

Zgon Haliny Gallowej napełnił smutkiem wielu jej wychowanków, przyjaciół, kolegów i jakże jej zawsze bliskich Redutowców.

STEFAN PAPÉE

Śmierć i psychologia

(dokończenie ze str. 19)

urządzenie skromnego pogrzebu i związane z nim starania nie należą wówczas do statutowych a przynajmniej moralnych obowiązków SPATiFu?

Pytanie jest retoryczne — problem jednak otwarty. Oczywiście nie problem paru ludzi, którzy z potrzebnej polskiemu aktorstwu organizacji stworzyli sobie na szczeblu województwa wygodne narzędzie działania, przydatne do zaspokajania niedosytów i podstawiania nóg. Problemem wydaje się natomiast metoda i kultura naszych pogrzebów, oraz sprawność poprzedzających je czynności. Dobrze, jeśli najbliżsi zajmują się nimi we właściwy sposób. Gdy jednak umiera człowiek samotny? Albo gdy rodzina, sprawna w zakresie formalnych przygotowań, okazuje się bezsilna, by oddać cześć zmarłemu na miarę jego rzeczywistych zasług i tego, co można by nazwać społecznym poczuciem harmonii i sprawiedliwości?

Świecka liturgia takich aktów jest jedną z najsłabszych stron naszej obyczajowości. Sąsiednie państwa, te w których mimo laickiego obyczaju rozumie się jednak uczuciową i społeczną wagę obrzędu, wypracowały już sobie świeckie formy pogrzebowego ceremoniału, mogące uczynić zadość tym społecznym poczuciom i potrzebom. Tylko my, zawieszeni między obyczajowościami, zależni od różnych kultur i inspiracji, jesteśmy bezsilni wobec formy pogrzebu. Nie tylko nie mamy wypracowanej, odpowiednio godnej jego liturgii, ale i sposób jego przygotowania bywa niekiedy świadectwem nieudolności. Nic dziwnego, że forma i treść takiego pożegnania nikogo nie zadowala, a w teatrze, środowisku, wśród przyjaciół i sojuszników zmarłego panuje najczęściej kłopotliwe milczenie. Albo głos zabierają przypadkowi mówcy — stylistyką, mentalnością i zatrważającą zazwyczaj potrzebą mówienia oddający zmarłemu niedźwiedzią przysługę.

Nie są to — na szczęście — refleksje z tego właśnie pogrzebu, który zainspirował mój felieton. Tym razem pożegnanie było serdeczne, słowa prawdziwe, żal szczery — była to bowiem naprawdę świetna Pani, prawdziwa arystokratka polskiego teatru — jego legenda i prawda zarazem. Ale że żyjemy w gromadzie, często spotykamy się na cmentarzu i płynące stąd obserwacje stają się coraz częściej przedmiotem refleksji a nawet — bądźmy szczerzy — źródłem niepokoju. Coraz mniej mamy czasu, coraz mniej uwagi dla tych, którzy odeszli, chociaż jeszcze wczoraj żyliśmy z nimi a oni byli częścią naszego krajobrazu. Odczuwa się to nie tylko w chwili pożegnania. Odczuwa się to również, gdy raz do roku, w dniu Święta Zmarłych, Poprzednikom, Kolegom i Patronom z tamtego brzegu oddać należy parę najprostszych posług. Sprowadzają się one zazwyczaj do oczyszczenia i uczczenia grobu. Ta prosta czynność staje się dzisiaj dyskretnym testem na osobistą przyzwoitość i wewnętrzną kulturę kolegów, podejmujących podobne zadania w imię najprostszej solidarności. Zgodnie z możliwościami i różną u każdego — miarą rzeczy. Kto jednak powinien o tym zawsze myśleć? Na kim, prócz doraźnych kłopotów i komeraży, powinien spocząć ten obowiązek? Co stanie się z nami po śmierci, jeśli braknie najbliższych i nikomu nie będziemy już potrzebni?

JPG